

Uroboros w panoptikonie

Na początku 2080 roku był bajzel. I trochę bulgoczącego błota. Wielki bajzel. I trochę bulgoczącego błota. No dobrze, bądźmy szczerzy: gigantyczny, monumentalny bajzel. I trochę bulgoczącego błota. Kula ziemską nie wyglądała już jak miękka, skórzana piłka, jaką kopali ongiś na podwórkach chłopcy na całym świecie. Przypominała raczej podgnitego pomidora, wywróconego na lewą stronę, któremu Wielki Demiurg rozkazał istnieć w tej nowej, nieznośnej przecież i bolesnej formule. To, co dotychczas było na zewnątrz świata – miasta, arterie ulic, slumsy Bombaju, oceany, wieżowce Dubaju, wieża Eiffla, Kreml, Pałac Kultury i Nauki w Warszawie – wszystko zwinęło się nagle niepostrzeżenie i wniknęło do wnętrza kuli ziemskiej. Na zewnątrz pozostała tylko brudna, poszarpana ziemia i gorąca magma, która szybko zastygła zabijając, jakby mimochodem, dwa miliardy ludzi. Wcześniej trzy miliardy ofiar pochłonęło przewracanie się kuli ziemskiej na nice. Została garstka ludzi – nie ludzi, bo i oni nie wyglądali zbyt reprezentacyjnie. Powiedzieć o nich, że nie byli urodziwi – to nic nie powiedzieć. W zasadzie bowiem byli odrażający, obrzydliwi w swej fizjonomii i... tacy obnażeni. Kiedyś mówiono by o nich, że mają serca na dłoni, teraz zaś trzeba byłoby jeszcze dodać: „I flaki na wierzchu...”. Ich też jakiś wewnętrzny przymus wykręcił całkowicie na lewą stronę i oto żyli zupełnie na odwrót – wywrócenie na nice, na rewersie siebie.

Wydawało się, że ktoś wywiercił na szczycie ich czaszek maleńki, tygi otworek, przez który wyciągnął miniaturowy sznureczek. Jedno pociągnięcie – i voilà! Człek niepostrzeżenie dla samego siebie odwracał się cały na lewą stronę. Skóra, ubranie wierzchnie, bielizna, obuwie, nakrycie głowy – wszystko lądowało w tajemniczym „wewnątrz” przekręconego człowieka, a jego wszystkie organy – dotąd szczelnie zakryte przed ludzkim wzrokiem, nagle stawały się elementem zewnętrżności. Mężczyźni wyrzuszali na światło dzienne swoje otłuszczone żołądki, obrzęknięte wątroby, cerowane wyrostki robaczkowe, pęczniące gazami i niezdrowym jedzeniem jelita, otumanione alkoholem, narkotykami i dopalaczami zwoje mózgowie – tak zresztą poplątane, że chyba nikt nigdy nie byłby w stanie ich ułożyć na nowo we właściwym porządku. Ofiary wypadków pokazywały temu nowemu światu swoje metalowe płytki, błyskały gwoździakami i prętami, które utrzymywały misterną konstrukcję ich kręgosłupów na wierzchu. Kobiety w ciąży

mogły bez przeszkód oglądać funkcjonujące na zewnątrz ich ciała macice z ruchliwymi płodami, których - na szczęście, nie obejmowało najwyraźniej wywrócenie na zewnątrz. Rozwijały się więc dalej wewnątrz worków owodniowych, ale pod zamkniętymi powiekami drgały konwulsyjnie histerycznie przerażone oczy, a dzieci, które już wkrótce miały przyjść na świat i regularnie je otwierały, pokazywały w nich matkom zwierzęcy strach. Świat bowiem przestał być dla nich jedną, wielką niewiadomą, a stał się oczywistością, egzystującą tuż obok nich, od której oddzielała je tylko delikatna ściana macicy. A jak się nie bać czegoś, co się widzi, zanim się tego nie dotknie, nie pogryzie, nie pociamka?

Przerażeni Szybkomyślący prędko znaleźli gdzieś bańki z niezidentyfikowanych materiałów, imitujące otulinę, w które zapakowali pozostających przy życiu ludzi. Trzeba przecież było jakoś ochronić te resztki ludzkości, które pozostały po Wielkim Kataklizmie Rewersowego Obrócenia Wszechświata. Ich organy, wnętrzości były zbyt kruche, by długi czas pozostawały bez osłony. Mogły przecież wyschnąć, popękać, ulec uszkodzeniu. Kto by wówczas pozostał na odwróconej Ziemi? Bańki same w sobie w ogóle były zagadką. Leżały na powierzchni poprzekręcanego świata – jak gigantyczne, zmaterializowane beknięcia planety. Czym tak naprawdę były? Wypatroszone zwoje mózgowie ludzi wołały na wszelki wypadek o tym nie myśleć.

Wielkie zagrożenie epidemiologiczne stanowiły także wszystkie groby, które po przekręceniu się planety na lewą stronę, wykluły się na powstałym wybebeszeniu. Oczywiście problemu nie stanowiły stare, zdekompletowane szkielety sprzed setek lat (niektóre ocalały), ale świeże trupy, które pochowano jeszcze przed niespodziewaną zagładą doczesności. Gnijące zwłoki nie odwracały się na lewą stronę – a to pewnie dlatego, że nie musiały: wszystkie ich smrodliwe wnętrzości i tak bowiem wypłynęły na wierzch. Szkielety taplały się w trumnach, w zupach powstałych ze swoich płynów fizjologicznych. Zatrwały otoczenie i siały zgrozę wśród ludzi, którzy pomimo odwrócenia – pozostali przy życiu. Co prawda oni sami wyglądali nie lepiej od trupów, ale przecież wciąż jeszcze żyli, choć przepełniający ich strach paraliżował chęć dalszego życia na odwróconej planecie.

Jeśli jeszcze ktoś dysponował mokrymi, działającymi zwojami mózgowymi, przewodzącymi impulsy nerwowe, za wszelką cenę starał się zrozumieć, jak to się stało, że świat, który zna – bezpowrotnie przeminął. Wydawało się, że jeszcze wczoraj planeta walczyła ze zmianami klimatycznymi, konsumpcjonizmem, tworzyła sztuczne protezy i wynalazki bioniczne, a dziś jawiła się jako bładny, koronkowy sen, fatamorgana nierealnych doznań, emocji i szarych smug. Nic z tego świata nie pozostało – kable sterczały z odwróconej na nice planety jak powyrywane żyły, światłowody internetu – to przezroczyście

włókno szklane z domieszką tworzyw sztucznych, wypatroszone straszły na zmienionej organicznie powierzchni. Drzewa zniknęły – ku wywróconemu na lewą stronę niebu (na którym widać było przyszyte niewprawną dłonią gwiazdy, całe ich konstelacje) wyciągnięte były – w dramatycznym geście, olbrzymie korzenie z przyczepionymi do nich, nieznanymi dotąd ludzkości bakteriami i wirusami. Wszystko to – wściekle cmokając i piszcząc, chciało tylko jeść, konsumować, pochłaniać, zagryzać. Gotowe było przemielić pozostałości świata na drobią sieczkę, a ludzkość – na nic nieznaczące trociny organiczne.

Szybkomysłący starali się odnaleźć w tej nowej dla ludzkości sytuacji jakieś doraźne rozwiązanie, które pomogłyby ocalałym jakoś egzystować. Błyskawicznie jednak wszelką społeczną dyskusję zdominował wielki głód. On jakoś nie zapadł się wraz z żołądkiem, nie zaginął. Po prostu na czas kataklizmu przycałił się gdzieś cichutko, by w stosownym czasie wejść na arenę dziejów. Ludzkość na rewersie świata rozpaczliwie zaczęła poszukiwać czegoś do jedzenia, ale świat znanej przyrody – fauny i flory, odwrócił się przeciw i zapadł do wnętrza Ziemi. Dostępne pozostało tylko to, co dotąd tkwiło w ukryciu – oblepione bakteriami korzenie i dziwne, zbutwiałe pnącza, wydzielające ohydny zapach, szczególnie upiorny dla wywróconych na zewnątrz opuszek węchowych i nerwu węchowego. Natura pokazała swoje głodne oblicze, więc ludzie z coraz większym niepokojem przyglądali się sobie nawzajem, zastanawiając się w panice: „Czy człowiek obok mnie ma świeże kiszki? Czy nie zatruję się czasem po zjedzeniu jego bebechów? A może ta istota w ciąży ma zdrowy, chrupiący płód, którym pożywię się na długi czas?”.

Spryciarze węszyli biznes, poszukiwali jeszcze rodzaju działającej esencji, tynktury, kamienia filozoficznego – rzekomo nadającego każdemu metalowi nieszlachetnemu właściwości złota lub srebra, przekształcającego go w te ciała. Starali się odnaleźć tynkturę czerwoną – wykorzystywaną do transmutacji metali w złoto i tynkturę białą, którą posługiwano się do przemiany w srebro. Już nawet zaczęli przygotowywać naczynie służące do owej tajemniczej, alchemicznej przemiany – czyli tak zwane jajo filozoficzne, gdy szybko sobie uprzytomnili, że złota i srebra jest wokół nich pod dostatkiem. Planeta Ziemia - obracając się na lewą stronę, wyrzuciła na zewnątrz uwięzione dotąd w zazdrośnym wnętrzu zasoby naturalne, w tym właśnie wiele złota i srebra. Co im teraz jednak po nich było? Wraz z zanikiem wszelkich oznak cywilizacji człowieczej – stały się bezwartościowe. Błyszczały sobie jakimś dziwnie zarozumiałym, buńczucznym blaskiem – oświetlane nie wiadomo jakim światłem. Bo słońce... też odwróciło się na lewą stronę. Było teraz gorejącą kulą, której ciepło, energia nieomal nie docierały na powierzchnię niby – Ziemi, wciąż rozpaczliwie ją okrążającej. Ziemię – rewers oświetlał jakiś okropny, przerażający blask, przypominający

światło ze starych, fabrycznych halogenowych lamp. Ludzie z wnętrznościami na wierzchu trzęśli więc swymi rachitycznymi szkieletami, a ich wszystkie wierzchnie, wypatroszone organy podrygiwały przy tym nerwowo. Otaczające ich ciała bańki niezbyt chroniły przed utratą ciepła, a magma z Ziemi – po erupcji tak aktywna, szybko zamieniła się w bezużyteczną skorupę i przestała grzać. Nie dało się jej uniknąć pod wypatroszonymi stopami, ale była rodzajem chodnika śmierci, zastygłym cementarzyskiem dawnej, ludzkiej cywilizacji. Kąsała w miękkie, odkryte tkanki rewersu stopy - ciągłymi wyrzutami sumienia.

Początkowo ocalałe resztki wypatroszonych istot myślały, że ludzkość jeszcze może ocaleć, odrodzić się. Przecież w końcu w łonach niektórych kobiet tkwiły wciąż żywe płody! Ta ich mocno naiwna nadzieja szybko się jednak skończyła, gdy dostrzegli pierwszych śmiałków, którzy z okrzykiem nienawiści rzucili się ku spęczniałym macicom i z furią w odwróconych na lewo oczach – oderwali je od kobiecych korpusów. Żarli płody razem z grubymi sznurami pępowin, rozgniatali zębami drobne tkanki nienarodzonych i rozszarpywali macice, wypijając z nich płyn owodniowy i krew – jak z kunsztownej czarki. Oto ludzkość przemieniała się w mitycznego uroborosa – węża pożerającego własny ogon. Tak właśnie homo sapiens zniszczył faunę, florę – to, co żywe i to, co miało przyszłość, by na końcu destrukcją objąć całą Ziemię i otaczający ją wszechświat. Skoro jako uroboros niesie w sobie pierwiastek wieczności, będzie to jego jednocześnie nadzieją i przekleństwem. Nadzieją, bo ludzkość jako taka nigdy pewnie nie zginie, ktoś przetrwa, ale będzie to jednostka tak zdegenerowana i zepsuta, że nieustanna przemiana i ciągłe odradzanie się nie obejmie jej zatrutej duszy. Choćby humanoid zmieniał się i przeobrażał wciąż na nowo, klonując się i powielając, replikując w sposób ciągły swoje byty, żyjąc wielowarstwowo i wielopoziomowo – zawsze ostatecznie coś spartaczy niszcząc swoją nową przyszłość. Zatrute jest bowiem jądro człowieczeństwa, brudna jest jego dusza. Zatem na zawsze musi ona pozostać w Panoptikonie, czyli Domu Nadzoru. Oko wiecznie pilnuje i karze...